



Na pióro do Senegalu

Witold Daniłowicz

© ArtushFoto/Adobe Stock

Afryka jest popularnym celem podróży polskich myśliwych. Większość z nich udaje się tam z zamiarem pozyskania trofeów zwierzyny grubej. Ja natomiast, namówiony przez mojego francuskiego przyjaciela Jacques'a, wybrałem się na Czarny Ląd, by zapolować na ptactwo. Postanowiliśmy odwiedzić Senegal – była kolonią francuską. Ten niepodległy od 1960 r. kraj jest bardzo spokojny i bezpieczny, dlatego cieszy się popularnością wśród europejskich turystów, głównie francuskojęzycznych.

Największa atrakcja turystyczna Senegalu to piękne plaże. Myśliwych przyciągają natomiast polowania na pióro. Oprócz guźców nie ma tam zwierzyny grubej. Za to ptaki występują w ogromnej liczbie gatunków. Odnosi się to zwłaszcza do ptactwa wodnego: kaczek, gęsi czy kormoranów. Przez Senegal przepływa jedna z najważniejszych rzek afrykańskich – Gambia. Jej ujście i środkowy bieg leżą w kraju o tej samej nazwie, źródła znajdują się w Gwinei, a większość górnego biegu – we wschodnim Senegalu. To

właśnie ta część tego kraju była celem naszej wyprawy.

Zaskoczenie na lotnisku

Lot do Dakaru trwa sześć godzin. To niedużo, ale przez ograniczenia w ruchu powietrznym spowodowane pandemią liczba lotów z Warszawy do Paryża została znacznie zmniejszona i cała podróż wydłużyła się o sześciogodzinnne oczekiwanie na lotnisku w stolicy Francji. Co gorsza, w ostatniej chwili się okazało, że muszę lecieć sam, ponieważ problemy rodzinne uniemożliwiły Jacques'owi wyjazd. Tak więc znalazłem się w samolocie do francuskojęzycznej Afryki z zaledwie podstawową znajomością tego języka. Moją drugą troską było towarzystwo. Miałem dołączyć na tygodniowe polowanie do grupy prawie nieznanym mi 10 ludzi. Jedynie

dwoch z nich, Stephane'a i Remiego – przyjaciół Jacques'a – poznałem trzy lata wcześniej w czasie polowania na południu Francji. Pociuszające było to, że Stephane mówił trochę po angielsku.

Mój pierwszy kontakt z Senegalem to kontrola paszportowa. Odstałem swoje w długiej kolejce, podszedłem do okienka i podałem dokument. Umundurowany urzędnik dokładnie obejrzał paszport i zapytał, czy to moja pierwsza wizyta w jego kraju oraz jaki jest jej cel. Następnie poprosił o książeczkę szczepień. Na szczęście ją miałem. Po jej sprawdzeniu urzędnik stwierdził, że moje szczepienie przeciw żółtej febrze jest sprzed dekad, a w Senegalu trzeba je powtarzać co siedem lat. Trochę mnie to zdziwiło, bo przed wyjazdem sprawdziłem, że na tę chorobę szczepi się raz w życiu. Ale jak tu dyskutować z urzędnikiem, zwłasz-

dr Witold Daniłowicz

witold.danilowicz@gmail.com
www.wdanilowicz.pl



cza gdy nie bardzo się go rozumie i jest się zmęczonym po długiej podróży. Na szczęście pogranicznik zaproponował rozwiązanie: opłatę 50 euro na miejscu, bez pokwitowania. Jak później ustaliłem, żaden z moich kolegów nie został poproszony na granicy o świadectwo szczepienia. Wtedy zrozumiałem prawdziwy sens pytania o to, czy to moja pierwsza wizyta w Senegalu!

Francuskie specjały

Kolejny etap podróży to ośmiogodzinny przejazd do bazy myśliwskiej. Lotnisko opuściłem przed północą, więc całonocna jazda samochodem w głąb Czarnego Lądu nie bardzo mi się uśmiechała. Dlatego przespałem się w pobliskim hoteliku i wyruszyłem o godz. 5 rano. Czekał na mnie wygodny peugeot z klimatyzacją. Droga zupełnie przyzwoita – asfaltowa i bez dziur. Ruch utrudniała jednak ogromna liczba dużych i przeładowanych ciężarówek, ponieważ tą trasą są przewożone towary z portu w Dakarze do sąsiadującego z Senegalem Mali, które nie ma dostępu do morza. Po drodze mijaliśmy sporo pozostałości po wypadkach: a to ciężarówka w rowie, a to zabita kilka dni wcześniej krowa. Dookoła sawanna – płaski teren porośnięty małymi i rzadkimi krzakami. Wzdłuż drogi wioski i miasteczka, a wokół nich ogromne ilości śmieci.

Zastanawiałem się, gdzie można się napić kawy i zjeść śniadanie. Poprosiłem kierowcę o znalezienie jakiegoś sensownego miejsca i po chwili zajecha-



Fot. Witold Danilowicz

Nasza baza La Kayanga

liśmy na przydrożną stację benzynową. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom: obok stacji stał mały budynek z napisem Boulangerie Pâtisserie, a więc francuska piekarnia i cukiernia. A w środku – jakżeby inaczej – croissanty, bułeczki z czekoladą (*pain au chocolat*) i inne francuskie specjały. Wszystko świeże i pachnące. Nawet kawa była przyzwoita. Zupełnie nieprawdopodobne!

Ruszyliśmy dalej i po sześciu godzinach od wyjazdu z Dakaru dotarliśmy do stolicy prowincji, w której miałem polować – miasta Tambacounda. Tam opuściliśmy drogę na Mali i skrzyliśmy na południe, w kierunku granicy z Gwineą Bissau. Po kolejnych dwóch godzinach (z czego ostanie pół pokonaliśmy

drogą bitą) przybyliśmy do naszego miejsca docelowego, czyli bazy (zwanej z francuskiego *camp*) La Kayanga, leżącej kilkanaście kilometrów od granicy.

Zgodnie z planem przyjechałem akurat na obiad, aby zdążyć na popołudniowe polowanie. Powitał mnie właściciel – Jacky, który zaczął rozmowę po francusku, gdyż był to jedyny znany mu język. W odpowiedzi udało mi się skleić parę prostych zdań, co wywołało radość zwłaszcza Stephane'a i Remiego, którzy akurat nadeszli. Wszyscy uznali, że wbrew zapowiedziom Jacques'a znam francuski, więc nie muszą się męczyć z angielskim. Męczyłem się natomiast ja. Dobre było tylko to, że po tygodniu pobytu umiałem się już dogadać w podstawowych kwestiach. Okazało się też, że jeden z myśliwych to Francuz z Alzacji płynnie mówiący po niemiecku. Miałem więc kogoś, z kim mogłem swobodnie porozmawiać.

Polowania na stanowiskach

Po obiedzie i krótkiej sjeście nadszedł czas na pierwsze polowanie. Jacky przedstawił mi strzelca (zwanego po francusku *pisteur* – przewodnik czy tropiciel) o imieniu Yabe, który miał mi pomagać przez cały pobyt. Okazało się, że świetnie trafiłem. Yabe był odpowiedzialny za moją broń (choć nosiłem ją sam), amunicję, wodę do picia i resztę ekwipunku. Podpowiadał mi, jak się ubrać i co zabrać na dany rodzaj polowania. Na stanowisku pokazywał mi ptaki, bo ich dostrzeżenie dla niewprawnego oka było trudne, zwłaszcza na początku. Podczas podchodu ▶



Dropik senegalski

© Martin Pelanek/Shutterstock.com

je płoszył i wyszukiwał strzelone sztuki. W tej ostatniej czynności Yabe był mistrzem. Oczywiście nie obyło się bez problemów językowych. Gdy w trakcie pierwszego polowania mierzyłem do lecącego ptaka, usłyszałem, że mój przewodnik coś krzyczy. Zrozumiałem „stop”, więc zdjąłem palec ze spustu. Yabe spojrział na mnie z wyrzutem i zapytał, dlaczego nie strzeliłem. Okazało się, że krzyczał nie „stop”, ale „tap”, co po francusku jest odpowiednikiem naszego „pal”!

Polowanie na turkawki było pierwszym, w jakim wziąłem udział. Można je określić mianem stacjonarnego, bo myśliwi stoją na stałych stanowiskach. Poluje się rano albo przed wieczorem. Ptaki przelatają wtedy licznie do miejsc żerowania, którymi są najczęściej ścierniska. Strzały sprawiają trudności z wielu powodów. Turkawki lecące na tle lasu nad samym rżyskiem bardzo trudno zobaczyć. Początkowo Yabe ciągle krzyczał „z przodu”, „po prawej”, „po lewej”, a ja nic nie widziałem. Natomiast gdy wreszcie zobaczyłem, już było za późno na oddanie strzału. Do tego turkawki latają szybko i mają niemiłą zwyczaj gwałtownego zmieniania toru lotu. Po jakimś czasie można jed-

nak nabrać wprawy, zwłaszcza że okazji do strzału nadarza się bardzo dużo.

Na stanowiskach polowaliśmy także na inne gołębie. Poluje się na nie tak samo jak na turkawki, rano albo wieczorem. Pewnego popołudnia rozstawiliśmy się w malowniczej okolicy, przy małych oczkach wodnych. Horyzont rozświetlał pożar sawanny kilka kilometrów od nas. Polowaliśmy na gołębie skalne oraz okularowe. W przypadku tych ostatnich obowiązywał limit 10 sztuk na myśliwego. Ponieważ o wiele trudniej je strzelić niż ich skalnych kuzynów, taki wynik udało się osiągnąć tylko Remiemu – najlepszemu strzelcowi z naszej grupy. Przy okazji można było pozyskać także ptaki innych gatunków, np. złotosłonkę bengalską. Raz nawet jeden z kolegów strzelił gęśca – dużego ptaka z rodziny kaczkowatych, zwanego po francusku „gęsią uzbrojoną” (ze względu na ostrogi).

Łowy chodzone

Najciekawsze były polowania chodzone. W Senegalu w taki sposób poluje się głównie na szponiastonogi zbrojne – ptaki z rodziny kurowatych, trochę większe od naszych kuropatw. W czasie tych łowów przewodnicy podrywali

często także różne inne ptaki: trerony zielone, przepiórki, słonki czy dropiki senegalskie. Gdy je spostrzegli, głośno wykrzykiwali ich nazwy. Początkowo nie strzelałem do tych ptaków, bo nie wiedziałem, czy to gatunki łowne. Dopiero później się zorientowałem, że głośne zidentyfikowanie gatunku przez przewodnika oznacza, że strzał do niego jest dozwolony. W jedno szczególnie udane popołudnie udało się nam w cztery strzelby strzelić: 15 szponiastonogów, 6 dropików, 4 bekasiki i 2 przepiórki. Innym razem oprócz ptaków pozyskaliśmy także 3 zające.

Polowanie tego typu wiąże się z dużym wysiłkiem fizycznym. Teren jest trudny – ugórze, często porośnięte ostrymi krzakami albo trzcinami wyższymi od człowieka. Aby przejść, szuka się tuneli zrobionych przez ludzi lub krowy. Należy przy tym zachować czujność, ponieważ od czasu do czasu zrywa się ptak i trzeba szybko znaleźć miejsce do strzału. Trzech albo czterech myśliwych poprzedzielanych przewodnikami idzie ławą. Przynajmniej taka jest koncepcja, bo często nawet się nie widzimy z powodu wysokiej roślinności. Czasami zmieniamy taktykę i robimy *chaudron* (po polsku kocioł), czyli obstawiamy kępę krzaków albo grupę drzew.

Do płoszenia ani do poszukiwań nie używa się psów myśliwskich, bo jest zbyt gorąco. Zajmują się tym nasi *pisteurs*. Oni też noszą strzelone ptaki. Polowanie trwa ok. trzech godzin, w trakcie których pokonuje się mniej więcej 10 km. Ze względu na prawie 40-stopniowy upał jest to spory wysiłek, zwłaszcza gdy wraz z upływem czasu i rosnącym zmęczeniem robi się coraz goręcej. Nieco wytchnienia daje przyjemna bryza. Mimo to trzeba mieć dobrą kondycję.

Miejscowa ludność

W trakcie chodzenia po łowisku od czasu do czasu trafiamy na małe wioski czy pojedyncze zagrody – grupy kilku niewielkich domków krytych trzciną i otoczonych płotem. Senegalczyki to w większości muzułmanie (96% ludności), więc praktykują wielożeństwo. Przepisy dopuszczają posiadanie maksymalnie czterech żon. Każda z nich ma osobną chatkę, w której mieszka ze swoimi dziećmi. Takie rodzinne obejście jest ogrodzone. Rano kobiety zamiatają podwórka i zagrody są naprawdę czyste – za to wszystkie śmieci lądują za płotem. W efekcie

Od lewej: Remi, autor i Stephane ze strzelonymi szponiastonogami zbrojnymi



Arch. Witolda Dantłowicza



Efekt porannych łowów

Fot. Witold Danilowicz

prawie każda wioska czy obejście są otoczone wianuszkami odpadów, głównie plastików. To bardzo przykry widok.

Przy wsiach kręci się sporo krów, osłów i świń. Te ostatnie mogą dziwić w kraju islamskim, ale najwyraźniej mieszka tu też pewna liczba wyznawców innych religii (w tym katolików), którzy nie mają problemu z jedzeniem wieprzowiny.

Wielozęstwo powoduje, że wszędzie jest dużo dzieci. Na polowaniach ciągle nam towarzyszyły. Nawet jeżeli w zasięgu wzroku nie było żadnej wsi, to na odgłos strzałów wkrótce się pojawiały i otaczały nas albo chodziły za nami. Dla myśliwych obecność dzieci w łowisku stanowi duży kłopot, bo trzeba cały czas uważać, żeby ich nie postrzelić. Dla nich z kolei była to rozrywka – jedna z niewielu dostępnych. A w dodatku szansa na lepszy posiłek, ponieważ oddawaliśmy im część strzelonych ptaków. Często dawaliśmy dzieci też napojami gazowanymi, które na ogół bardzo im smakują. Najczęściej nie chciały jednak ich pić, zwłaszcza te najmłodsze. Może się bały, że je otrujemy? Jak twierdził Yabe, prawdopodobnie myślały, że napoje zawierają alkohol, zakazany dla muzułmanów.

Dzieci to niejedyny problem związany z bezpieczeństwem na polowaniu. W zaroślach często są ukryte małe, zupełnie niewidoczne poletka, na których pracują wieśniacy. Zbyt niski strzał

może się skończyć tragedią. Niemiłą przygodę miał Remi. Strzelił do szponiastonoga, a zza krzaka rozległ się przeraźliwy krzyk kobiety, której myśliwy w ogóle nie widział. Pracowała na swoim poletku i zupełnie się nie spodziewała wystrzału nad swoją głową. Z kolei Remi nie przypuszczał, że ktoś się znajduje w pobliżu. Zrobiło się małe zamieszanie, ponieważ kobietę należało uspokoić, przeprosić i udobruchać. Na szczęście okazało się, że jest siostrą trzeciej żony ojca mojego przewodnika, co znacznie ułatwiło sprawę.

Kaczki i gęsi

Bardzo ciekawe było polowanie na kaczki, zwłaszcza ze względu na przepiękną scenerię. Wyruszyliśmy wcześniej rano i po krótkiej jeździe samochodami terenowymi przesiedliśmy się do małej motorówki, którą Jacky po kolei rozwoził nas na stanowiska. Oczekiwaliśmy na kaczki i podziwialiśmy wschód słońca nad rozlewiskiem. Gatunek, na który polowaliśmy, to drzewice białołice. Niestety tym razem przelatowały zbyt wysoko na strzał. Udało mi się pozyskać zaledwie jedną sztukę. Można było strzelać też do kormoranów, które tutaj nie podlegają ochronie. Na kaczki jeździliśmy również wieczorami, na złoty. Zasadzaliśmy się wtedy przy małych oczkach wodnych.

W czasie wyprawy polowaliśmy także na gęsi. Takie łowy nie różnią

się zbyt od tych w Polsce. Na ściernisku zostało ustawione kilkanaście bałwanków. Myśliwi czekali schowani w budkach stojących w dwóch rzędach, naprzeciw siebie, po obu stronach pola. Po upływie mniej więcej półgodziny zaczęły nadlatywać gęsi. Pierwsze grupy nie chciały się zaznajomić z naszymi bałwankami. Dopiero później jedna grupa zdecydowała się wylądować na ściernisku. Napięcie było ogromne. Niestety któryś z myśliwych nie wytrzymał i oddał strzał do zniżających się gęsi, zanim całe stado usiadło na polu. To spowodowało, że wszystkie ptaki się poderwały, a łowcy zaczęli strzelać. Udało się nam pozyskać 15 sztuk, ale mogło być znacznie lepiej.

Polowaliśmy rano i po południu, więc na odpoczynek czy turystykę nie zostawało zbyt wiele czasu. Zławsza że dojazd do łowiska czasami zajmował nawet godzinę w jedną stronę. Jednak pewnego razu w trakcie powrotu z polowania zatrzymaliśmy się w naszym miasteczku. Okazało się, że w środy odbywał się tam największy w Senegalu targ. Tłum był rzeczywiście ogromny. Niestety moje próby kupienia miejscowych wyrobów spełzyły na niczym. Wszędzie królowały tanie chińskie produkty – głównie plastik i sztuczne tkaniny. Mimo tego niepowodzenia wizyta na targu była bardzo ciekawa. Podziwiałem zwłaszcza kobiety w pięknych i eleganckich strojach narodowych. ●